

Anka z nieba,

Kazimierz Kutz ogłosił ją aniołem III RP i współczesną świętą. Czasem ona prosi: Kaziu, nie śmiej się ze mnie. Wtedy Kutz tonuje: Anka, ja nie z ciebie. Dziś już człowiek z człowiekiem przestał normalnie rozmawiać, a ty to potrafisz.

JOANNA PODGÓRSKA

Kiedy czterdziestoletnia upośledzona kobieta na jej widok zrywa się z okrzykiem: Mamusi!, przez moment czuje się dziwnie, ale niech i tak będzie. Do niepełnosprawnych umysłowo zbliżyła się przez przypadek kilka lat temu. Ksiądz Tadeusz Zaleski z Fundacji Brata Alberta zaprosił ją do ośrodka w Radwanowicach jako jurorkę konkursu twórczości teatralnej. Jadąc tam potwornie się bała. Gdy przyjechała, otoczyły ją tłumy upośledzonych. Każdy chciał dotknąć, ścisnąć, przytulić się.

– Czulałam, jakbym była na dnie piekła, ale po kilku minutach bariera pękła – wspomina Anna Dymna. – Zobaczyłam w tych ludziach niespotykaną dziś otwartość, potrzebę miłości, czułości. Gdy wracałam do domu, łeb mi pękał, miałam ambiwalentne uczucia i dziękowałam Bogu, że mój syn jest normalny. Jednak po pewnym czasie poczułam, że tęsknię. Zaczęłam tam wracać, pomagać w organizowaniu warsztatów teatralnych. Ci ludzie

są jak rzucone na ziemię brylanty. Depczemy po nich nie dostrzegając ich piękna. W nich zakodowane są czyste uczucia, prawdziwe człowieczeństwo, tak poniewierane w naszych dziwnych czasach. Czasem mam wrażenie, że to ja przyjeżdżam do nich z nienormalnego świata.

Medal św. Brata Alberta, który dostała, był jak ostroga, wejście na ambicję; jak to, przecież ja właściwie nic nie zrobiłam. No to teraz muszę. I tak się zaczęło: Ogólnopolski Festiwal Twórczości Teatralno-Muzycznej Osób Niepełnosprawnych Umysłowo Albertiana, warsztaty terapii artystycznej. Ostatni projekt to ośrodek wczasowy dla niepełnosprawnych umysłowo w Lubiatowie nad Bałtykiem. Żeby mogli, tak jak ona, stanąć o świcie nad brzegiem morza i poczuć zwyczajną radość życia. Pieniądze? Jakoś się znajdą. Wszystko dzieje się trochę samo. Jak mówi, to nie tak, że siada i kombinuje, co by tu jeszcze dobrego zrobić. Po prostu nie zgadza się na myślenie, że wszystko jest brzydkie i złe, wszyscy kradną i nic nie można z tym zrobić. Można.



© TOMASZ ŻUREK/REPORTER

Z pensjonariuszami Domu Opieki Społecznej w Radwanowicach, październik 2004 r.
– Czuję się spełniona jako aktorka. Postanowiłam odpuścić walkę o siebie i zacząć walczyć o coś innego.

Anka z piekła



Kiedy po programie telewizyjnym „Spotkajmy się”, w którym rozmawia z umierającymi, okaleczonymi, chorymi, ludzie wciskali jej pieniądze, założyła fundację o nazwie Mimo wszystko. Dziś zatrudnia już 10 pracowników, terapeutów i psychologów. Załatwia windy, rehabilitację, protezy.

Którejś bezsennej nocy zobaczyła na ekranie telewizora ludzi, którzy

snują się po domu, klną, piorą i dębnią w nosie. To była pierwsza edycja „Big Brothera”. Zasnęła i przyśniło się jej, że jest zamknięta w domu pełnym kamer. Gdy się obudziła, przerażona zaczęła czytać sonety Szekspira, żeby otrząsnąć się z koszmaru. Pomyślała: czy ja jestem wyjątkowa? Nie. Nienormalna? Nie. Więc może inni też tego potrzebują. Mam narzekać na „Big Brothera”? Trzeba robić swoje. I wymyśliła Salon Poezji. Niektórzy pukali się w głowę: kto ci przyjdzie w niedzielę rano słuchać jakichś wierszy? Przyszły tłumy, a Salon stał się w Krakowie instytucją. W sobotę ustawiają się ogromne kolejki po wejściówce. Odbyło się ponad sto spotkań, a podobne salony powstały już w pięciu miastach.

– *Wiem, że w tym, co robię, pomaga mi popularność – mówi. – Niektóre filmy chodzą za mną jak wiernie pieski, bo ciągle powtarza je telewizja. Nadal wykorzystuję tę Dymną z ekranu. Ja uczciwie zapracowałam na swoją twarz i teraz mogę z nią zrobić, co chcę.*

Zawsze powtarza, że ukształtowała ją rodzina. Matka tak dobra, że aż bezbronna wobec świata, wyniesione z domu proste zasady, że jeśli można pomóc, to trzeba pomóc. Ale aktorką została przez sąsiada. Piętro wyżej mieszkał ekscentryczny aktor Jan Niwiński, którego jako mała dziewczynka uważała za diabła. Był mitomanem, uwielbiał opowiadać, jak pobił Hemingwaya, spotkał się z Leninem, kłócił z Majakovskim. Sporo pracował z młodzieżą, urządzał próby na balkonie. Przez jego dom przewinęli się między innymi Jan Frycz i Anna Polony. Małą Anię zaangażował w głównej roli do spektaklu „Jaś i Małgosia”. Podczas prób cytował zdumionej dziewczynce Hegla, Kanta i Stanisławskiego. Potem miała z nim indywidualne lekcje. Uczył ją interpretować poezję. Kiedy po maturze postanowiła zdawać na psychologię, Niwiński wpadł w szał. Krzyczał, że ją zabije, że nie po to włożył w nią tyle pracy, żeby to wszystko zmarnowała. Skoro kazał, zdała do szkoły teatralnej i została aktorką.

Jej zjawiskową urodę szybko odkrył film. Właściwie nie musiała grać, wystarczyło,

że się uśmiechnęła czy spłonęła ze wstydu, a z ekranu emanowały wdzięk i naiwność. Jej twarz trafiła na okładki i kieszonkowe lusterka. Wspomina, jak po raz pierwszy miała ukazać się na okładce „Filmu”. Wstydziła się podejść do kiosku, miała wrażenie, że dzieje się coś niezwykłego. Dwa dni później zobaczyła okładkę „Filmu” przedartą na cztery i zawieszoną na gwoździu w dworcowej toalecie. Wrażenie niezwykłości przeszło. Recenzje, w których krytycy pisali o niej, że ładnie wyglądała, a o koleżance, że wspaniale zagrała, zaczęły upokarzać. Przełomem była dla niej rola Zosi w „Dziadach” reżyserowanych przez Konrada Swinarskiego. Gdy zagrała, Swinarski wołał: Widzisz! Widzisz! Nie jesteś taka głupia cipa, umiesz krzyknąć, wyć, rozpaczać.

Miała 18 lat, kiedy poznała Wiesława Dymnego. On – 32 lata. Ona była niewinną panienką, która nie znała nieprzyzwoitych wyrazów i w życiu nie widziała pijanego. On – artystą, alkoholikiem trwoniącym talenty, cyganem z Piwnicy pod Baranami. Spotkali się na planie filmu Henryka Kluby. Dymny był scenarzystą, Anna – wówczas jeszcze Dziadk – grała szefową motorowego gangu młodocianych. W nocy nie mogła usnąć, bo pod jej drzwiami Dymny z kolegą hałasował i grał w ping-ponga. Kiedy po paru godzinach próbowała nieśmiało zwrócić im uwagę, Dymny wtargnął do jej pokoju i zaczął bełkotać, obficie przeplatając wypowiedź słowem kurwa. Przekonana, ▶

almatur[®]
www.almatur.pl

**WORK & TRAVEL
USA**

- wiarygodni pracodawcy
- sprawdzeni partnerzy
- profesjonalna obsługa
- najlepsze zarobki

Cena 560 USD

Dla osób, które zapiszą się na program do końca grudnia promocyjna cena biletu lotniczego do Nowego Jorku lub Chicago - 399 USD*
infolinia 0801 10 78 76 (koszt połączenia lokalnego)

* (cena nie zawiera podatków i opłat lotniczych)

Zapraszamy do biur Almatu
na terenie całego kraju.
Informacje: tel. (22) 826 23 56,
edukacja@almatur.pl

www.almatur.pl

► że to o niej, nie wytrzymała i dała mu w twarz. Oddał i wyszedł. Potem przeproszał z bukietem kwiatów na peronie. I tak to się zaczęło.

Zamieszkali na jego strychu. Wszystko robili razem: zbijali meble, murowali ściany, szyli ubrania, rysowali, nocami czytali na głos. To było niebo i piekło. Czasem znikali na całe dni, nigdy nie była pewna, co zastanie w domu po powrocie, ale wystarczyło, żeby nie pił przez godzinę, i czuła, że jest w stanie znieść wszystko. To on nauczył ją dystansu do siebie, zawodu, targowiska próżności, jakim bywa środowisko teatralne. Tłumaczył, że najważniejsze, żeby kochać to, co się robi. Krzyczał, że aktorka to zawód jak wszystkie inne, że jak zobaczy, że jest gwiazdą, to ją zabije.

– *Od jego śmierci minęło już 26 lat, a ja ciągle z nim rozmawiam. Gdy coś planuję, myślę: co by o tym powiedział Wiesiek. Muszę postępować przyzwoicie, żeby mnie nie opieprzył, jak się kiedyś spotkamy tam na górze* – opowiada Anna Dymna.

Ta śmierć długo była dla niej tabu.

Nie chciała opowiadać, wspominać. Dopiero w ubiegłym roku, ćwierć wieku po śmierci Dymnego, zgodziła się napisać o nim dla „Dziennika Polskiego”. Opisała dzień, gdy wróciła na ich strych, gdzie trwał remont po pożarze. „W kuchni na podłodze leży Wiesiek, na wznak. Jakby stał i nagle się przewrócił. Zawsze tak tu stał na jednej nodze z drugą podwinętą lekko do góry, zahaczoną o stojącą. Tak też leży. Ma oczy otwarte, uśmiecha się do mnie nieruchomo. Dotykam jego twarzy. I już wszystko wiem. Powietrze się rozrzedza, tlen ucieka z atmosfery, świat zmienia kolor, słyszę rytmiczny szum, ogarnia mnie cisza i dziwne spowolnienie, jakbym weszła w inny wymiar”. Długo żyje jak w letargu, zdziwiona, że nic samo się nie kończy. Je, śpi, gra, choć każda minuta życia bez niego wydaje się zdradą i grzechem.

Z tego letargu wytrącił ją dopiero wypadek samochodowy, który cudem przeżyła. Gdy odzyskała przytomność i zobaczyła wokół siebie ciężko okaleczonych ludzi, bez rąk, bez nóg, którzy potrafili cieszyć się życiem, poczuła, że ona także, mimo wszystko, chce żyć. Ale fatum nie odpuszczało. Jeszcze na dobre nie zakończyła rehabilitacji, a na planie filmu „Królowa Bona”, gdzie grała Barbarę Radziwiłłównę, wywróciły się sianie. Potem kolejna kraksa samochodowa. Koledzy z teatru żartowali, słysząc karetkę na sygnale: to pewnie Dymna znów miała wypadek. Po tym, co przeszła, lepiej rozumie ludzi, których spotkało nieszczęście.

Chociaż była kobietą po przejęciach o dojrzałej psychice, do 34 roku życia wyglądała nieprzyzwoicie młodo, jak dziewczyna. To się zmieniło nagle. W ciąży przytyła ponad 30 kg i na zawsze przestała być krucha i wiotka. Wiedziała, że już nie zagra Ofelii. Bariere psychiczną pomógł jej przełamać Kazimierz Kutz. Nigdy wcześniej z nią nie pracował. Gdy wróciła do zawodu, powiedział: Teraz masz tyłek, cyce, wreszcie wi-



Z Wiesławem Dymnym, 1977 r. To on nauczył ją dystansu do siebie i zawodu.

dę, że jesteś baba, i zaangażował ją do „Opowieści Hollywoodu”. Podczas zdjęć usłyszała, jak woła: Stara, gruba Żydówka na plan. Po chwili zrozumiała, że to do niej, i pogodziła się z nowym wcieleniem.

Dziś ma 53 lata i nie zamierza udawać czterdziestolatki; podcinać, odsysać, liftingować. Spokojnie godzi się z upływającym czasem, choć aktorom w jej wieku teatr ma coraz mniej do zaproponowania. Dla mężczyzn jest łaskawszy. Aktor po pięćdziesiątce dojrzewa, szlachetnieje, ma jeszcze wiele ról do zagrania. Kobiety idą w odstawkę. Choćby jej ukochane „Wesele”. Debiutowała na scenie jako Isia, potem zagrała Zosię, Pannę Młodą, wreszcie Gospodynię. Zostaje ci jeszcze Wernyhora – żartował Jerzy Bińczycki.

– *Czuję się spełniona jako aktorka* – deklaruje. – *Z premedytacją postanowiłam odpuścić walkę o siebie i zacząć walczyć o co innego. Młodsza i piękniejsza nie będę. Nic na siłę. Głupia nie jestem, widzę, ile jest ról dla kobiet w tym wieku. Jak będę potrzebna, to mnie znajdą. Jeśli nie, nic się nie stanie. Zamiast grać w czymś głupim, wolę zrobić przedstawienie z niepełnosprawnymi albo reportaż o wolontariuszach.*

Czasem dostaje listy od wielbicieli, że życzą sobie, aby natychmiast schudła. Gdy telewizja powtarza po raz kolejny „Kochaj albo rzuć”, następnego dnia słyszy na ulicy: o Boże, co się z pani porobiło. Stara się to puszczać mimo uszu. Kiedy dziennikarka z kolorowego pisma w rozmowie zaczęła napomycić coś o dietach, spytała: Ile pani ma lat? 32? No, to ja w pani wieku lepiej wyglądałam.

– *Jest w niej jakiś zachwycający anachronizm* – mówi przyjaciel Anny Dymnej Jerzy Ilg, redaktor naczelny krakowskiego wydawnictwa Znak. – *W czasach, gdy ludzie dają ciata za parę groszy, ona nie idzie na*

kompromisy. Nie gra w głupich serialach, sitcomach, nie sprzedaje twarzy do reklam. Zachowała szacunek do samej siebie.

Przyjaciele z teatru mówią, że przy niej świat normalnieje. Tak jak chciał Dymny, nie została gwiazdą. Nie dała się zjeść pieniądzom i popularności.

– *Większość aktorów ma skłonność do kreowania rzeczywistości. Dymna jest tego pozbawiona, niczego nie kreuje* – ocenia Jan Englert. – *Nie ma drugiej osoby, która uprawia ten zawód niczego nie mistyfikując. Skąd się u niej bierze ta fenomenalna umiejętność panowania nad materią i samą sobą? Taka intuicyjna wiedza, co jest własne, a co na sprzedaż.*

Potrafi rozmawiać z każdym.

Kiedy idzie przez krakowski Rynek albo Plauty, zagaduje ją ekipa stałych pijaczków, Cyganki, kwaciarki. Gdy wraca wieczorem z teatru, prostytutki pytają: Co, już z pracy pani Aniu? A my tu jeszcze, kurwa, podoimy.

Od lat jest kimś w rodzaju społecznej terapeutki. Dostaje setki listów: od więźniów, alkoholików, biednych, chorych. Stara się na nie odpisywać podczas przerw w teatrze. Od kilku lat prowadzi w telewizyjnej Dwójce program „Spotkajmy się”, w którym próbuje oswoić cierpienie i śmierć. Rozmawia z niewidomymi o barwach, z cierpiącymi na porażenie mózgowie o miłości, z umierającymi na raka o radości, jaką daje walka o każdy dzień życia. Niektórzy zarzucają jej, że epatuje cierpieniem, płacze, lituje się, a to nieprofesjonalne.

– *To nie jest epatowanie* – denerwuje się. – *Ci ludzie potrzebują rozmowy, otwierają się, mówią o rzeczach intymnych, wstydliwych, ale to oni tego chcą. Ja na planie muszę utopić się w drugiego człowieka, zapomnieć, że istnieje. Taka rozmowa to precyzyjna robota, jak holowanie tożdzi z nitrogliceryną. Czasem pod upływem ich słów coś we mnie pęka i płacze. Jestem tylko człowiekiem. Na szczęście mam cudowną ekipę i zawsze u boku Mateusza Dzieduszyckiego, współtwórcę programu. Oni dają mi siłę i odwagę.*

Zaproszenie do studia jest dla niej równoznaczne z wzięciem odpowiedzialności za drugiego człowieka. Po skończonych zdjęciach nie wychodzi mówiąc do widzenia. Ma stały kontakt ze swoimi bohaterami, z wieloma się zaprzyjaźniła, dzięki fundacji organizuje dla nich pomoc. Jednocześnie na stałe gra w teatrze, czasem w filmach, prowadzi normalny dom. Jej syn Michał czasem żartuje: Matka, uważaj, bo ci skrzydła wyrosną. Śmieje się z niej, ale potrafi też podziwiać to, co robi, i podobnie patrzy na świat i ludzi.

– *Ja z tą świętą to wcale nie żartowałam* – mówi Kazimierz Kutz. – *W każdym człowieku walczy demon dobra i zła, ale w niej demon zła został całkowicie pokonany. Nie ma wad ani słabości. Nie zgrzeszy, nie upije się, no po prostu beznadziejny przypadek. Dlatego wszyscy ją uwielbiają, a ja jestem dumny, że dotykałem świętej. Oczywiście służbowo.*

JOANNA PODGÓRSKA

W artykule wykorzystałam

m.in. książkę Elżbiety Baniewicz „Ona to ja”.